

Miraże wojen i zwycięstw

4 grudnia 2017

Żadna aktywność gatunku homo (rzekomo) sapiens nie potrzebuje tyłu i tak zafałszowanych mitów co wojna w każdej swej fazie. By rządzące elity mogły zacząć wojować, muszą zapewnić sobie przy pomocy odpowiedniej propagandy poparcie poddanych (to oni będą przecież za to płacić i ginąć), zawsze prawie przy użyciu jakiegoś pretekstu i intensywnej propagandy. Każda agresywna wojna rozpoczynana jest więc „by usunąć zagrożenie”, „w imię boże”, „o słuszną sprawę”, „o sprawiedliwość”, „o wolność i demokrację”, „w obronie tego czy owego”, „o pradawne ziemie”, a już najczęściej „w odpowiedzi na atak”.



Gdy już się toczy, trzeba usztywniać moralny kręgosłup społeczeństwa przy pomocy opisów waleczności, bohaterstwa i odwagi, dumy z wygranych bitew, peanów na cześć rządzących, generałów, armii i narodu za wytrwałość, idealizm, dzielność i honor w obliczu wroga, a także przez uporczywe głoszenie nienawiści, pogardy i odczłowieczania przeciwnika. Gdy się wreszcie skończy, trzeba pochwalić się zwycięstwami. Jeśli nie zbrojnymi to przynajmniej moralnymi. Takimi jak nasze polskie Westerplatte i powstanie warszawskie, czy np. australijski Anzac. A dalej, urządzać co roku parady i uroczystości upamiętniające i gloryfikujące wojennych bohaterów, ginących

za zawsze przecież „słuszną sprawę”.

Baśnie wojenne, bo do tego sprowadzają się te legendy dla dorosłych, malują, tak samo jak bajki dla dzieci, skrajnie uproszczony i polukrowany obraz, i pomijają zarówno prawdziwe przyczyny konfliktów, jak i bestialstwo, okrucieństwo i brutalność walk i bitew, jak i rzeczywisty koszt i jałowość większości ewentualnych zwycięstw.

Prawie wszystkie wojny wszczynane są dla wąskich interesów rządzących elit i sprzedawane poddanym w opakowaniu jakiejś popularnej idei – walki o prestiż władcy czy kraju, za „wiarę”, o „przestrzeń życiową”, o demokrację, o humanitarne ideały, o usunięcie „zagrożenia dla pokoju”, by uprzedzić „nieuniknioną napaść wroga”. Nie ma znaczenia, czy to król, cesarz czy dyktator chce cieszyć się sławą niezwyciężonego „boga wojny” lub „wodza” jak Napoleon lub Hitler. Nie ma znaczenia czy to społeczeństwo Stanów Zjednoczonych łudzone jest, jak dawniej Anglicy, wiarą w boskie przeznaczenie czyli przywilej „narodu wybranego” pozwalający ich Imperium (a tak naprawdę rządzącej oligarchii) urządzać, pod pretekstem niesienia „postępu”, świat po swojemu, dla własnej korzyści. Nie ma znaczenia czy to zastraszone wyimaginowanym i/lub wyolbrzymionym zagrożeniem naród kibicuje wojnom „prewencyjnym”, będącym niczym innym jak zawołaną agresją.

„No cóż, to oczywiste, że ludzie nie chcą wojny. Cemu jakiś prosty wieśniak na gospodarce chciałby ryzykować życiem, gdy w najlepszym przypadku może tylko oczekiwać, że powróci cały i zdrowy. To naturalne, że zwykli ludzie nie pragną wojny. Ani w Rosji, ani w Anglii, ani w Ameryce, ani też prawdę powiedziawszy w Niemczech. Mimo to, to do przywódców państwa należy formułowanie polityki, a pociągnięcie narodu za sobą to prosta sprawa, tak w demokracji, jak i pod faszystowską czy komunistyczną dyktaturą....

Czy ludzie mają głos, czy też nie, można ich zawsze nagiąć do woli przywódców. Wystarczy wmówić, że grozi im atak i oskarżyć pacyfistów o brak patriotyzmu oraz narażanie kraju na

niebezpieczeństwo. Działa bez pudła w każdym kraju” – powiedział Hermann Göring w Norymberdze prywatnie do Gustava Gilberta.

W każdym przypadku korzyści z „wygranych” wojen rozpętanych pod tymi flagami i nagłówkami płyną do oligarchicznej elity, której dostają się gigantyczne zyski z produkcji broni, łupy wojenne, nowe tereny do eksploatacji, prestiż polityczny i uwielbienie otumanionych propagandą mas, które za to wszystko nieświadomie i naiwnie płacą, pieniędzmi, krwią i swoim oraz cudzym życiem. Wszystkie wojny są potwornie niszczące w każdej prawie dziedzinie życia – kulturalnej, materialnej, psychicznej, moralnej, a zakres zniszczeń jest geometrycznie proporcjonalny do zaawansowania technologicznego wojujących. Jedynymi dziedzinami, którym wojna naprawdę służy to nauka i technologia, bo są gorączkowo finansowane i rozwijane na potrzeby wojenne. Rozważanie czy jest to warte milionów ofiar, kalectwa, tortur, zbrodni i straszliwych zniszczeń towarzyszących wojnom nie jest tematem tego artykułu, wystarczy powiedzieć, że z moralnego punktu widzenia bilans prawie na pewno jest zawsze ujemny.

Większość wojen kończy się ogłoszeniem zwycięstwa przez jedną ze stron. W mitach zwycięstwo ma zawsze słodki smak, okrywa chwałą władcę, kraj czy naród, przynosi dywidendy całemu społeczeństwu i jest powodem do dumy. Rzeczywistość jest mniej świetlana i tak samo prawdziwa, jak „żyli długo i szczęśliwie” w bajkach dla dzieci. Dywidendy i zyski, zarówno materialne jak i polityczne zgarnia bowiem prawie wyłącznie elita, podczas gdy poddani płacą zubożeniem oraz kalectwem fizycznym i psychicznym.

Co to jest jednak zwycięstwo? Zanim nastała epoka powszechnej świadomości narodowej i nacjonalizmów łatwiej było je zdefiniować – zapewniało utrzymanie się na tronie i gloryfikację władcy, było zdobyciem, złupieniem i zagarnięciem terytorium, usunięciem lub zastąpieniem „ich” elity przez własną, czy wyciśnięciem kontrybucji lub okupu z pokonanych.

Szarym poddanym na niższych szczeblach drabiny społecznej nie robiło aż tak wielkiej różnicy kto wygrał, byli zwykle grabieni i gwałceni przez armie obu stron, ci po przegranej stronie dostawali po zakończeniu wojennego łupiestwa i przemocy nowych Panów, którym z reguły dalej potulnie płacili czynsze i podatki. Odkąd jednak poczucie wspólnoty i jedności narodowej rozszerzyło się na całe społeczeństwa, sprawa się skomplikowała. Zdobycie cudzego terytorium i zniszczenie lub upokorzenie elit nie zapewnia już bierności wierzącej w ideę własnego narodu rzeszy mieszkańców, nie gwarantuje zatem ani długoterminowego pokoju, ani bezbolesnej eksploatacji zdobyczy. Nie pomagają prawie nigdy nawet czystki etniczne, czy świadome i zaplanowane ludobójstwo.

Historycy i teoretycy wojskowości zadziwiająco mało czasu i uwagi poświęcają definiowaniu i analizowaniu terminu „zwycięstwo”. Jest to spowodowane zarówno jego nieprecyzyjnym charakterem, gdyż stosowany jest on zarówno do wygranych potyczek i bitew jak i do rezultatów całych wojen, jak i trudnością znalezienia dla zwycięstwa odpowiedniego miernika. Ten brak jednoznacznej, ściśle sformułowanej definicji stwarza szerokie pole działania dla propagandy. Ułatwia powstawanie rewizjonistycznych mitów w rodzaju „dolchstoss” (ciosu w plecy – rzekomej przyczyny klęski Niemiec w I. wojnie światowej), który utorował Hitlerowi drogę do władzy i do rozpętania nowej wojny, czy też pozwala przedstawiać klęski i niepowodzenia jako rzekome tryumfy.

O ile wygraną w bitwie można oprzeć na twardych statystykach strat ludzkich i materialnych, o tyle wygrana w wojnie jest o wiele trudniejsza do jednoznacznego zmierzenia i określenia. Do zdefiniowania ostatecznego zwycięstwa można użyć bilansu ofiar i strat, podobnie jak w przypadku bitew, choć jest to wielkim uproszczeniem, bardziej przydatnym dla propagandy niż rzeczowej analizy, nie bierze bowiem pod uwagę ani długotrwałych konsekwencji wojny, ani perspektywy historycznej. Można pochwalić się zniszczeniem potencjału

ekonomicznego i wojskowego przeciwnika i zmuszeniem go do kapitulacji. Można, co jest bardziej rzetelne, ogłosić je w oparciu o stopień spełnienia zadeklarowanych planów wojennych i politycznych. Najbardziej jednak uczciwym i naukowym podejściem jest użycie analizy długoterminowych skutków wojny, czyli przyjrzenia się im po upływie paru dziesięcioleci. Tego typu analiza jest jednak ograniczona do historyków, badaczy i teoretyków wojskowości i w najlepszym razie tylko śladowo przenika do powszechnej świadomości społecznej.

Von Clausewitz, który stworzył nowożytną naukę o wojnie, za zwycięstwo uważał spełnienie politycznych celów i zadań zwycięzcy, poprzez zniszczenie materialne i psychologiczne przeciwnika, a za dowód wygranej zdolność do osiągnięcia i zachowania pokoju. Dużo wcześniej Machiavelli, autor „Księcia”, pisał o dwóch składnikach niezbędnych do „trwałego zwycięstwa”: po pierwsze akceptacji klęski przez pokonanego i pogodzenia się przez niego z niemożnością jej odwrócenia przez walkę, dyplomację czy propagandę; po drugie potraktowania pokonanych przez zwycięzcę jako partnerów w nowym porządku politycznym. Tak więc i Clausewitz i Machiavelli, a za nimi inni teoretycy wojskowości stawiają TRWAŁY POKÓJ, oparty na jakiejś wspólnotce interesów wygranych i pokonanych, jako probierz prawdziwego zwycięstwa.

Dla wszystkich znających historię jest oczywiste, że wedle tego kryterium bardzo niewiele wojen jest w rzeczywistości naprawdę wygranych. Na przytaczanie przykładów brak tu miejsca i czasu, spróbujmy jednak zastosować je do paru niedawnych lub toczących się obecnie konfliktów.

Na początek, ten najdłuższy, najbardziej zażarty i uporczywy – syjonistycznej kolonii – Izraela, z autochtonami, o zrabowaną im ziemię w Palestynie, i z regionem. Od początku swego istnienia Izrael zdecydowanie wygrał prawie wszystkie bitwy i niemal wszystkie wojny. Nie zrealizował jednak ani swego celu strategicznego – podboju całej Palestyny i wyparcia z niej rodzimej ludności, ani politycznego – akceptacji jako

prawowitej części regionu. Nie ma też w obecnej sytuacji najmniejszych szans na zmuszenie przeciwników do szczerego, trwałego i wiążącego pogodzenia się z istnieniem państwa żydowskiego, a wreszcie jego doktryna polityczna i wojenna absolutnie wyklucza traktowanie Palestyńczyków jako prawdziwych partnerów. Wszystkie zwycięskie fanfary izraelskich rządów i światowych Syjonistów są zatem w znacznym stopniu propagandą, okłamującą własne społeczeństwo i resztę świata.

A dalej, wojna Stanów Zjednoczonych i ich krajów wasalnych z „terrorem” i z „islamskim radykalizmem”. Przede wszystkim trzeba tu podkreślić, że te wszechobecne w mediach i świadomości zachodnich społeczeństw hasła i memy są nonsensownymi propagandowymi absurdami, celowo zacierającymi naturę konfliktu. Terroryzm jest TAKTYKĄ słabych w konfrontacji z przytłaczającym przewagą przeciwnikiem, islamski radykalizm jest mającą korzenie w skrajnej i powierzchownej interpretacji islamu ORIENTACJĄ POLITYCZNĄ. Są to zatem niematerialne abstrakcje, idee, wojowanie z którymi jest niemożliwe przy użyciu żołnierzy, bomb i dronów. Owszem, USA et consortes toczą wojnę, a raczej wojny, jednak nie z ideami, ale z organizacjami politycznymi walczącymi, często przy użyciu terroryzmu, pod sztandarami tych idei, a wyłoniłymi przez społeczności na amerykańskim celowniku, najczęściej W ODPOWIEDZI na politykę Zachodu. W wojnach tych nie chodzi tak naprawdę o zniszczenie terroryzmu czy islamizmu/dżihadyzmu, bo taktyki i idei zniszczyć bombami się nie da, ale o zmuszenie islamskich społeczeństw Bliskiego Wschodu i Afryki Północnej do bezwarunkowego uznania prymatu Ameryki i interesów gospodarczych i strategicznych jej elity nad ich własnymi, oraz do pełnej uległości imperialnym edyktom Waszyngtonu. Islam, Islamizm, itp. są tu tylko propagandowym „chłopcem do bicia”, bo gdyby bliskowschodni „tubylcy” wojowali pod sztandarem np. jakiejś skrajnej interpretacji wiary w Latającego Potwora Spaghetti, a nie islamu, sytuacja byłaby podobna. Tak czy inaczej, pomijając już absurd

zbrojnego wojowania z ideami, Stany Zjednoczone nie mają szans ani na zrealizowanie swych celów politycznych – całkowitego zduszenia rebelii post-kolonialnego Bliskiego Wschodu i zmuszenia jego mieszkańców do pogodzenia się z amerykańską dominacją, ani nie mają (jak na razie) zamiaru potraktowania ich jako partnerów, których potrzeby i przekonania należy wziąć pod uwagę. Dlatego przechwałki o „Wykonanym Zadaniu” („Mission Accomplished”), czy o „zmuszonej do ucieczki Al-Kaidzie”, czy o „ustabilizowanym Afganistanie” (że nie wspomnieć już o Iraku), czy o „osłabieniu i wyniszczeniu ISIL” są tylko hałasem propagandowej pustej beczki, mającym na celu ogłupienie własnego społeczeństwa i społeczeństw krajów satelickich przez zatarcie prawdziwego obrazu sytuacji.

Zwycięstwo w obu tych konfliktach jest w obecnych układach całkowicie niemożliwe przy użyciu dotychczasowych strategii. Nie ulega wątpliwości, że przywództwo polityczne zarówno Izraela jak i Stanów Zjednoczonych zdaje sobie w jakimś stopniu z tego sprawę, jednak przez ideologiczne zaślepienie i dla doraźnych korzyści politycznych gotowe jest kontynuować „wojnę z terrorem”, poświęcając długoterminowe dobro ogółu dla dogmatu i dogodzenia interesom oligarchicznych elit, które ciągną za ich sznurki, a które na tym wojowaniu zarabiają. Bezterminowa kontynuacja konfliktów umożliwia przecież pompowanie kolosalnych sum z kieszeni podatników przez koncerny zbrojeniowe, grupy nacisku (lobbystów), generalicję, „służby” wywiadowcze i porządkowe, co z kolei pomaga im kupować polityków. Pozwala też przywódcom na pozowanie na „Obróńców Ojczyzny”, co jest najpewniejszym sposobem na zdobywanie głosów odpowiednio nastraszonych wyborców. A wyborcy/podatnicy w taki czy inny sposób płacą gigantyczne i wciąż rosnące koszty wojowania i zaciąganych na zbrojenia i prowadzenie wojen długów. W sumie, jest to typowa dla ostatnich kilkudziesięciu lat wciąż bardziej skrajna prywatyzacja zysków i nacjonalizacja strat.

Wojny jednak są z natury wyjątkowo ryzykownym

przedsięwzięciem. Przyczyną tego jest, jak pisał w swej książce „Zasady wojny” teoretyk wojskowości, Carl von Clausewitz, ich natura, nie pozwalająca ani na regulowanie i ograniczanie stopnia przemocy, ani na wiarygodne przepowiedzenie ich skutków, prawie zawsze pociągających za sobą „nieprzewidziane konsekwencje”, czyli rebelie, terroryzm, czy kolejne wojny. Wygrywanie bitew, czy nawet całych wojen nie gwarantuje zatem, pod nieobecność realistycznego urządzenia status post haec trwałego pokoju, czyli PRAWDZIWEGO zwycięstwa. To nie przypadkowo król Tesalii Pyrrus zdobył sobie miejsce w historii i w przysłowiu (szkoda, że nie w polityce). Mimo że Stany Zjednoczone i Izrael posiadają obecnie ogromną przewagę materialną i logistyczną nad przeciwnikami, ciągłe podwajanie przez nie stawki poprzez wciąż nowe, z góry skazane na niepowodzenie ryzykowne ataki i wojny wciąż powiększa koszty prowadzenia i rozwiązywania konfliktów, podsyca je zamiast gasić, a także zwiększa ryzyko nieprzewidzianego wypadku mogącego prowadzić albo do kompromitującej klęski (jak w Wietnamie) albo do spowodowanego zadłużeniem załamania gospodarczego, albo nawet do atomowej katastrofy globalnej.

Jak na razie, płacące za wojenne awantury społeczeństwa USA i ich satelitów są skutecznie mamione wojenną propagandą i odseparowane od skutków decyzji politycznych swych zaprzędanych grupom specjalnych interesów przywódców. Po zniesieniu powszechnego poboru do wojska i zastąpieniu go rekrutacją najemników, synowie klasy średniej i wyższej prawie nigdy nie wracają już do domu w plastikowych workach a ludzie widzą śmierć i zniszczenie siane przez bomby, Marines i drony tylko na ekranach TV i komputerów, gdzieś daleko, wśród “obcych”, odpowiednio przefiltrowane przez oswojone media. Gdy z rzadka i wyjątkowo zetkną się z nimi bezpośrednio czy z bliska – jak w World Trade Centre 9/11, czy w Londynie, czy w Madrycie, czy w Paryżu, czy w Brukseli, ich gniew i oburzenie kierowane są nie przeciw politykom i elitom, odpowiedzialnym za incydenty będące „nieprzewidywalnymi konsekwencjami” tych

wojen, ale przeciw zdesperowanym wyalienowanym fanatykom-oszołomom, szukającym rewanżu za to co się robi im i ich pobratymcom, i przeciw stojącemu rzekomo za nimi wyimaginowanemu, wymyślonemu na potrzeby wojennej propagandy wrogowi – „islamofaszystom”. W podobny sposób reagują na napływającą do Europy falę uchodźców, wygnanych z domów przez kolonialne awantury Zachodu lub neokolonialną nędzę i zamęt – strachem, niechęcią, pogardą i nienawiścią do ofiar, a nie do sprawców. Są z premedytacją utrzymywani w niewiedzy, że najnowsza historia konfliktu z Bliskim Wschodem i islamem nie zaczyna się od Paryża, Londynu czy Brukseli, czy od 9/11, ale, cofając się krok za krokiem w przeszłość, jej etapy to:

- pierwsza wojna z Irakiem w 1991 i mordercza blokada tego kraju;
- trzy napaści zbrojonego przez USA Izraela na Liban 1996, 1993, 1978;
- wojna 6-dniowa i okupacja Zachodniego Brzegu w 1967 r.
- brudna i krwawa francuska wojna kolonialna w Algierii w latach 1954-1962;
- zainicjowany przez CIA i MI6 zamach stanu w Iranie w 1953 r.;
- czystki etniczne w Palestynie i wojny Izraela z krajami arabskimi w latach czterdziestych i pięćdziesiątych;
- układ Sykes-Picot krojący w 1916 r. Bliski Wschód pomiędzy mocarstwami kolonialnymi i wynikłe stąd wojny kolonialne Anglii i Francji w Iraku i Syrii;
- i że wszystkie incydenty terroru na Zachodzie mogą być tylko „nieprzewidzianymi konsekwencjami” i aktami rewanżu za tę historię i miliony jej ofiar.

Autorstwo: Herstoryk

Zdjęcie: [The U.S. Army](#)

Źródło: WolneMedia.net

BIBLIOGRAFIA

Ian Bickerton, „The Illusion Of Victory”, Melbourne University Press, 2011.